



Tadeusz Sieja (Tad Sieja Anderson)

1919-2009

Absolwent Szkoły Morskiej w Southampton z 1942 roku; uczeń na „Darze Pomorza” w ostatnim przedwojennym rejsie żaglowca, żołnierz we Francji, uczestnik konwojów oraz inwazji na Normandię, wychowawca w Gimnazjum i Liceum Morskim w Landywood, po wojnie w USA, m.in. dyrektor wytwórni płytowej Capitol Records.

Urodził się 16 grudnia 1919 r. w Berlinie, a wychowywał się zarówno w Polsce, jak i we Francji. W sierpniu 1939 r., jako uczeń po skończonym I roku Wydziału Nawigacyjnego PSM, zaokrętowany na „Dar Pomorza” – wyruszył w rejs, z którego już do kraju nie wrócił. Statek został tuż przed wybuchem wojny skierowany do Szwecji, skąd uczniów przetransportowano do Wielkiej Brytanii. Tam Tadeusz Sieja, wraz z kolegami, postanowił walczyć z Niemcami w szeregach powstającego we Francji polskiego wojska.

Wspominał Eugeniusz Hrywniak, że wkrótce po wylądowaniu we Francji 12 stycznia 1940 r. razem z Józkiem Wojciechowskim i Tadeuszem Sieją wstąpił oficjalnie do wojska w randze kanoniera z cenzusem. „Przydzielono nas do starej bazy wojskowej w Coëtquidan, pamiętającej jeszcze czasy pierwszej wojny światowej. Większość rekrutów było zawodowymi żołnierzami z Polski, którym udało się przedostać do Francji poprzez Rumunię i Węgry. Ze zdumieniem patrzyli na nas, zmieniających nasze eleganckie mundury marynarskie na używane mundury francuskie. Pokpiwali sobie też nieraz, pytając, co to z nas za cywilne wojsko i czy nie boimy się dalej wojować z Niemcami.

[...] Wielu naszych już przeszkolonych żołnierzy i duża część żołnierzy zawodowych, z braku oficjalnego przydziału, została skierowana do wiosennych prac u farmerów. Zaś nasza trójka, Józek Wojciechowski, Tadek Sieja i ja, znaleźliśmy pracę w kamieniołomach. [...] W czasie tych smutnych i niepewnych dni przydarzyła się nam nie lada frajda. Tadek, którego rodzina wyemigrowała do Alzacji jeszcze przed pierwszą wojną światową, wziął nas ze sobą do ich gościnnego domu. Ten kilkudniowy urlop podczas świąt wielkanocnych, spędzony wśród Polaków i w przyjaznej i rodzinnej atmosferze, był naprawdę niebywałym luksusem. Jed-

nakże w dwa dni później pobyt w ich gościnie obrócił się nagle w zupełną klęskę, bo szybka zmotoryzowana dywizja niemiecka odcięła cały obszar Pas de Calais od reszty Francji¹. Dołączyli do stacjonującego niedaleko pułku piechoty i z nim przeszli chrzest bojowy: „Nie bardzo zdając sobie jeszcze sprawę z okropności wojny, cieszyliśmy się jak dzieci, prując do Niemców, ile się tylko dało. Mieliśmy wielką frajdę, widząc jak kilka najbliższych aut zostało mocno uszkodzonych, a niektóre stanęły w płomieniach, z amunicją wybuchającą wokoło jak fajerwerki. Dookoła nas był piekielny huk, krzyki ludzi, jęki rannych i niekończące się rozkazy. W oddali Niemcy zaczęli wyskakiwać ze swoich palących się aut i kryć się, gdzie każdy mógł. Tadek, świetny strzelec, aby nie marnować amunicji, której wtedy mieliśmy jakoś mało, wrzeszczał jak opętany:

– Gena, ja biorę pierwszego, ty drugiego! Nie dajmy tym sukkinsynom teraz uciec! Niestety, wkrótce przybyło jeszcze więcej niemieckich aut i bitwa przybrała na sile. Jakoż z Bożą pomocą udało nam się wyjść z tego starcia bez szwanku².

Opuścili wracający do bazy pułk i starali się dołączyć do innej jednostki idącej na północ. Tak dotarli do Dunkierki i stawili się w bazie wojskowej Caseme Jean Barthe.

„Pewnego dnia rano, pomimo silnego ostrzału z dział przeciwlotniczych różnego kalibru, Niemcom udało się przedrzeć przez kordony obronne i rzucić kilka bomb na naszą bazę. Jeden szpital i dwa stadiony, dzięki Bogu tylko częściowo zajęte przez wojsko, zostały mocno uszkodzone. [...]”

Każdego dnia grupy żołnierzy z łopatami na ramionach kierowano do miasta, aby oczyścić z gruzów i umożliwić użycie dróg. Na nas też przyszła kolej oczyszczania dróg, więc kiedy znaleźliśmy się w mieście, postanowiliśmy uciec. [...] Pod wieczór tego samego dnia znaleźliśmy się na wydmach

na wybrzeżu. Duża ilość żołnierzy z różnych jednostek szukała tutaj tymczasowego schronienia, więc w niekończących się tłumach angielskich żołnierzy szliśmy w kierunku plaży. [...]

W czasie gdy doszliśmy do plaży, ewakuacja żołnierzy była już w toku. Kutry rybackie podchodziły do prawie całkowicie zniszczonych kei, zabierając chorych i rannych. Żołnierze, po pas, a czasem nawet aż po ramiona w wodzie, porzucając na plażach niepotrzebny już sprzęt i uzbrojenie, z wysiłkiem brnęli w kierunku małych łodzi, które zabierały ich do większych jednostek stojących na głębokiej wodzie.

Szybko włączyliśmy się do pomocy przy ewakuacji. Już od świtu pomagaliśmy rannym dostać się do kutrów. Gdy tylko te odpływały, ładowaliśmy innych chorych i mniej zdolnych do poruszania się. [...]

Pewnego razu, właśnie w czasie przerwy w bombardowaniu, we trójkę z kilkoma Anglikami pomagaliśmy grupie ciężko rannych żołnierzy dostać się na kuter i zejść pod pokład. Prawie kończyliśmy już tę pracę, kiedy wycie syren ogłosiło następny nalot. Skiper kutra w obawie przed zbombardowaniem natychmiast odbił od lądu. Zanim zorientowaliśmy się, już byliśmy w znacznej odległości od brzegu. Nic mieliśmy szans na powrót i w ten zupełnie nieoczekiwany sposób, z rannymi i z grupą Anglików, z którymi pracowaliśmy już od dwóch dni, znaleźliśmy się w drodze do Anglii³.

Dotarli tam 28 maja 1940 r. i... zostali aresztowani przez Anglików jako szpiedzy, wysłani do wojskowego więzienia w Southampton. W więziennych pasiakach, w pojedynczych celach czekali na przesłuchania. W czasie przesłuchań, ze względu na słabą znajomość języka angielskiego, poprosili o francuskiego tłumacza – rozmawiał z nim Tadeusz Sieja, jako jedyny z grupy mówiący po francusku. Udało się w końcu podać Anglikom nazwiska kilku oficerów Marynarki Handlowej w Londynie, których osobiście znali. „Byliśmy coraz bardziej zmęczeni, rozczarowani, a nawet źli i zawiedzeni takim traktowaniem. Nie mogliśmy się pogodzić z tym, że po tylu poświęceniach, pomocy i pracy przy ewakuacji rannych i chorych żołnierzy angielskich, a zwłaszcza bezgranicznej wiary w przyrzeczenia Anglików

spotkanych w piaskach Dunkierki, z którymi razem pracowaliśmy, władze w dalszym ciągu traktowały nas tak bardzo podejrzliwie⁴.

Wreszcie pojawił się przysłany z Londynu oficer z Biura Marynarki Handlowej. Ten sam, który w bazie w Plymouth, przestrzegał chłopców „przed tym głupim krokiem”. „Kiedy więc wreszcie nas poznał, podszedł do nas i krzyknął: – Och, to wy! Teraz macie już na pewno dosyć tego heroizmu! Dali wam dobrze w dupę i teraz prosicie o pracę na statkach [...]. Mimo tego postanowiliśmy, że trzeba jednak wrócić do naszej jednostki we Francji i „do kolegów, którzy przecież musieli tam jednak walczyć z Niemcami. Dlatego poprosiliśmy o zorganizowanie nam przerzutu na francuskie wybrzeże, gdzieś w pobliżu Cherbourga, który jak nam było wiadomo był jeszcze we francuskich rękach. Prośba ta zaskoczyła nie tylko naszego tłumacza, ale także samych Anglików. Nie mogli zrozumieć, że po tylu kłopotach, będąc bezpieczni w Anglii, znów chcieliśmy wracać do Francji objętej pożogą wojenną⁵. Mały patrolowy okręt wojenny wyrzucił ich na francuskie wybrzeże w okolicy Cherbourga, skąd ruszyli w stronę Paryża, szukając swojego pułku, który – jak się dowiedzieli – walcząc i ponosząc duże straty, powoli posuwał się w kierunku Szwajcarii. Minęli Tuluzę i w znaleźli się na południowo-zachodnim wybrzeżu Francji, w St. Jean de Luz. „Według ostatnich zasłyszanych plotek, w tej zatoce zebrało się około 30 tysięcy polskich żołnierzy. Anglia miała nam pomóc w ich ewakuacji na Wyspy Brytyjskie, dokładnie tak samo, jak za czasów ewakuacji Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego z Dunkierki. [...] Po wielu dniach oczekiwania, wreszcie na redzie pokazały się duże pasażerskie statki, mocno zakamuflowane i przerobione na transportowce wojskowe, które bez zwlekania zaczęły ładować naszych żołnierzy. Wśród tych statków szybko rozpozналиśmy nasz statek m/s «Sobieski», pomimo jego wojennego kamuflażu. [...] Przy trapie służbowym, na wachcie, stał jeden z kolegów z naszego kursu ze Szkoły Morskiej. Poznaliśmy się natychmiast i rzuciliśmy się sobie w ramiona! Przecież ostatnio żegnaliśmy się z nim w bazie w Plymouth, kiedy zaciągaliśmy się do wojska polskiego we Francji.



Świeżo upieczeni absolwenci PSM w Southampton odbierają defiladę plutonu HOME ARMY , czerwiec 1941 r.

Fot.: B. Pogorzelski, op. cit., s. 50

Tak to w ciągu jednego miesiąca po raz drugi już podróżowaliśmy z Francji do Anglii⁶.

W Szkocji znaleźli się 23 czerwca 1940 r., a lipcu tego zostali skierowani do Szkoły Morskiej w Southampton.

Tadeusz Sieja ukończył szkołę z pierwszą lokatą 18 lipca 1941 r. i rozpoczął morskie pływanie: początkowo na s/s „Wisła” jako praktykant, od lutego 1942 r. do marca 1943 r. był praktykantem, następnie III oficerem na s/s „Lublin”, a w 1944 r. II oficerem na s/s „Poznań”, biorącym udział w inwazji na Normandię. Dyplom porucznika aspiranta żeglugi małej otrzymał w sierpniu 1942 r. Egzamin maturalny zdał w Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Glasgow. Odbił również kurs kapitański w Londynie, zakończony w czerwcu 1945 r. z pierwszą lokatą⁷.

Kpt. Karol Olgierd Borchardt (abs. WN z 1928), który był od 1 stycznia 1945 r. do 31 października 1946 r. dyrektorem Gimnazjum i Liceum Morskiego w Landywood, poprosił dwóch świeżo upieczonych absolwentów kursu kapitanów ż.w. z Londynu Edwarda Juźwiaka i Tadeusza Sieję, by „pomogli mu w jego trudnym zadaniu zorganizowania szkoły w Landywood i zajęcia się ponad setką chłopców, którzy przybywali różnymi drogami z Rosji i Bliskiego Wschodu, po wielu przygodach i latach spędzonych w bardzo ciężkich warunkach”⁸.

W 1948 roku Tadeusz Sieja wyjechał do USA ze swoją brytyjską żoną Audrey, te-



ściową Elizabeth i rocznym synem Chrisem. Zamieszkał w Chicago i pracował dla Ecko Products Company jako inżynier. W 1959 r. kolega Stanisław Magiera pisał do Bolesława Pogorzelskiego: „Tadzio Sieja ma dobrą pracę w jakiejś dużej firmie w Chicago i powodzi mu się nieźle. Ma już pierwszego syna”⁹.

Po 18 latach przeniósł się do Los Angeles, gdzie został dyrektorem Capitol Records.

W 1989 roku przeszedł na emeryturę do Port Townsend, a wkrótce potem dołączył do niego jego przyjaciel John, którego poznał w Chicago. „Kupili razem żaglówkę i stali się stałym elementem przystani w Port Townsend, z zapałem żeglując swoim słupem prawie co tydzień. [...]”



Fot. ze zbiorów Marka Twardowskiego

Szkoła Morska
w Landywood –
uczniowie i kadra,
pośrodku K.O.
Borchart

Tad Sieja Anderson zmarł spokojnie w swoim domu w Port Townsend 10 lutego 2009 roku w wieku 89 lat. [...] Zostanie zapamiętany jako człowiek mądrości i hojności, który zawsze miał ciekawą historię do opowiedzenia [...] Zawsze był blisko in-

nych członków rodziny mieszkających w Południowej Dakocie, Polsce i Francji, i miał szczęście odwiedzać ich przy wielu okazjach¹⁰. Spoczął na cmentarzu w Glendale w Kalifornii (Forest Lawn Memorial Park).



Źródła: *Kadry morskie Rzeczypospolitej*, tom I, pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, wyd. II, Gdynia 2000; Wadim Konstanty Taniewski-Elliott, *Spis personelu zatrudnionego na statkach Polskiej Marynarki Handlowej w latach 1939-1945*, Gdańsk 1981; Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra. Wojna i banicja chłopców Białej Fregaty*, Cape Town 2008; Józef Miłobędzki, *Polskie szkolnictwo morskie w Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej*, Gdynia 1980, na prawach rękopisu; londyńskie „Okólniki”.

1 Eugeniusz Hrywniak, *Kanonier z cenzusem*, [w:] Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra. Wojna i banicja chłopców Białej Fregaty*, Cape Town 2008, s. 25.

2 Ibidem, s. 26.

3 Ibidem, s. 28.

4 Ibidem, s. 29.

5 Ibidem.

6 Ibidem, s. 31.

7 Józef Miłobędzki, *Polskie szkolnictwo morskie w Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej*, Gdynia 1980, na prawach rękopisu, s. 39.

8 „Okólnik” 1990, nr 162, s. 39.

9 Bolesław Pogorzelski, *Przyszłość bez jutra. Wojna i banicja chłopców Białej Fregaty*, Cape Town 2008, s. 145.

10 <https://www.findagrave.com/memorial/34055956/tad-sieja-anderson>